

Wielkie zdziwienie, wielki zachwyty

Dominika Cieślak o pobycie w Boliwii

Dominika Cieślak – pleszewianka, absolwentka SP2 i LO im. Stanisława Staszica w Pleszewie. Ukończyła pedagogikę na UAM w Poznaniu. Dwukrotnie odwiedziła Boliwię. Od roku pracuje w domu dla dziewcząt w Cochabamba.

Mija już ponad rok mojego pobytu w Boliwii. Chyba więc powinnam już się przyzwyczaić trochę do tego kraju. I rzeczywiście, jakoś wszystko mnie już dziwi niż za pierwszym razem. Nie dziwi mnie już tak bardzo to, że kiedy jedziemy z 25 dziewczynek z naszego domu dziecka do kina, to mimo że podjeżdża pełny autobus linii H, to i tak się do niego mieścimy, chociaż niektórzy pasażerowie stoją po lewej stronie siedzenia kierowcy i gdzie tylko się da (a da się w takich miejscach, że człowiek naprawdę by się nie spodziewał). Nie dziwi mnie już też zbytnio to, że żeby wsiąść do takiego autobusu, to wystarczy zamachać ręką. Aby z niego wysiąść, trzeba natomiast oznajmić kierowcy „Będę wysiadać na rogu”. Nie dziwi mnie, że tym autobusem jadą z nami kurczaki (choć w niektórych widać wyraźnie naklejki ze znakiem mówiącym o zakazie przewozu drobiu środkami transportu publicznego). Całkiem normalne wydaje mi się też wyprzedzanie chodnikiem...

Jest to trudne, ale coraz bardziej przyzwyczajam się do tempa boliwijskiego życia. Mówi się, że biali mają zegarki, reszta świata ma czas... Tak to wygląda również tutaj. Ciężko jest zaplanować coś na wyznaczoną godzinę i zrealizować to o tej właśnie godzinie. Idąc na pocztę, trzeba uzbroić się w cierpliwość i stoicki spokój, by wysłać list lub odebrać paczkę. Mówi się, że w Boliwii dwa największe kłamstwa to „ahorita” (*teraz, już* – co w praktyce oznacza za pół godziny) i „cerquita” (*bliziułtko*, czyli tak naprawdę kawał drogi...). To rzecz, na którą trzeba się po prostu zgodzić i może najlepiej ... wyrzucić zegarek.

Coraz bardziej przyzwyczajam się do widoku *cholit* na ulicach Cochabamby, Boliwijek wszelkiego wieku ubranych w tradycyjne stroje – spódnicę poszerzającą i tak szerokie już biodra, koronkową bluzkę, dwa warkocze wystające spod ukwieconego kapelusza, przepasanych *aguayo*, w którym niosą dziecko, zakupy czy to, co akurat chcą sprzedać na targu lub ulicznym stoisku (lub też wszystko naraz).

Chyba przyzwyczajam się już do tego (i jakże to lubię!), że dziewczynki, z którymi pracuję uwieszają się na mnie, głaszczą, grzebią we włosach, zaglądają w uszy i dziurki od nosa, oglądają mi ręce i nogi z każdej strony, zadając tysiąc pytań, z których jedno z przewodnich to: „Dlaczego jesteś taka biała?” i drugie: „Czy wszyscy ludzie w twoim kraju mają takie jasne włosy?”

Wsiadam do autobusu i z godziny na godzinę zmienia się krajobraz – z surowych gór i dostojnego Altiplano na bujne i gorące tropiki. Zmieniają się też ludzie i ich twarze. Wychodzę z domu w sandałach i sukience, a wracam przemoczona i przemarznięta. Lubię, jak opala mnie słońce, kiedy robimy pranie (a pranie to tutaj niekończąca się opowieść). Coraz bardziej normalny staje się widok Andów za oknem, chociaż to chyba jednak każdego ranka mnie zaskakuje... Nie mogę przyzwyczaić się do zadyszki, którą jeszcze czasem łapię po wejściu po schodach (skutki ponad 2500 m n.p.m.) i jednocześnie chcę wracać w góry, które tutaj są takie bliskie i chyba jeszcze bardziej wciągają, a „miejscowi” tylko się dziwią – po co chodzić po górach bez celu? Łapię się na tym, że ze znajomymi Polakami zaczynam mówić po hiszpańsku, nawet jak jesteśmy sami. Lubię jeść na ulicy, szczególnie świeżo krojone soczyste ananasy, arbuzy albo papaje.

Ale tak naprawdę, jak sobie pomyślę o tym wszystkim, co się tutaj dzieje i otworzę szerzej oczy, to nie mogę wyjść ze zdumienia i dziwię się już wszystkiemu. Wszystko niby takie normalne, ale tak naprawdę takie niezwykle... I strasznie lubię to codzienne zaskoczenie na nowo...

****Tytuł pochodzi od wydawcy [jamlew1]***